

Nowy purytanizm?

11 listopada 2021

Sześć lat temu prowadziłam badania terenowe w spółdzielczej teatro-kawiarni położonej w dużym brytyjskim mieście. Kawiarnia miała wyjątkowo szczęśliwą (jak mi się wydawało) lokalizację – położona była nad rzeką wśród domów akademickich. Kiedy barman powiedział mi, że musieli zrezygnować z wieczornych występów na tarasie z powodu skarg sąsiadów, że jest za głośno, byłam przekonana, że chodzi o jakichś starych zgrzybiałych killjoyów pomstujących na młodzieńczą radość życia. Jakież było moje zdziwienie, gdy okazało się, że protestowali... okoliczni studenci. Albo inna historia, trudna do pojęcia dla kogoś przyzwyczajonego do myślenia w kategoriach z ubiegłego stulecia. Pewien brytyjski aktor rozebrał się do naga i biegał dla żartów po planie filmowym (gdy akurat nic nie filmowano). Wybuchł skandal proporcji niemal Wilde'owskich, gdzie aktor, po 50-tce, został przedstawiony jako odrażający demoralizator, przez koleżeństwo i fanów – generalnie poniżej 30-tki. Gdy robił to samo kilkanaście lat wcześniej, uważano to za świetny dowcip (i nie, nie jest z wyglądu ohydny oblechem). Gdyby robił to w latach 1960., byłby wielbiony przez młodzież jako artystyczna awangarda wolności – i potępiany przez starszych za niemoralność i łamanie zasad. Kiedyś to młodzież rozbierała się do naga i szokowała starszych. Teraz jest odwrotnie.



Te wydarzenia układają się w pewien coraz bardziej intensywny wzorzec: oskarżenia, skandale, wykluczenia, zwolnienia, ostracyzowanie. Prawica obserwuje to zjawisko i biadoli nad „nowym purytanizmem”. Owszem, rozumiem, że tak to może wyglądać – bo zewsząd dochodzą niekończące się awantury i moralne krucjaty. Nie można się pomylić, nie można błądzić, jeden głupi wyraz, wypowiedziany w wieku lat 16 przez jakąś gwiazdeczkę, utrwalony na filmiku, rujnuje jej karierę. Jednak prawica myli się głęboko – nie ma to z purytanizmem nic wspólnego. Wspomniany wcześniej Oscar Wilde wzruszył się akurat reakcją ówczesnych amerykańskich purytanów, którzy mieli o wiele bardziej ludzkie reakcje w czasie jego tragicznego procesu niż całe „szacowne angielskie społeczeństwo”. Purytanizm, owszem, dąży do eliminacji wszelkiej niemoralności, ale nie polega na etykietowaniu i gorszeniu się innymi ludźmi, lecz na podążaniu drogą cnoty poprzez skromność, prostotę i otwartość na duchową łaskę. Oferuje też wzajemną bliskość, społeczność opartą na trosce i współodpowiedzialności. Kultura potępienia nie posiada żadnej z tych cech, a jej podobieństwo do purytanizmu jest powierzchowne – podobnie jak jej system wartości.

Osoby atakujące brytyjskiego aktora i ciągnące po urzędach „zbyt głośnych” spółdzielców przypominają inne postaci z epoki wiktoriańskiej i mają z nimi o wiele więcej wspólnego –

symboliczną tożsamość klasową. To, co widzimy to przejawy coraz bardziej zacieklej walki o przynależność do klasy średniej, mieszczańskiej.

Jerzy Kociatkiewicz, profesor zarządzania z Francji, charakteryzuje kulturę wysokiej konkurencyjności na przykładzie dworu Ludwika XIV, gdzie jedno słowo mogło spowodować nieodwołalny upadek. Trzeba było starannie dobierać słownictwo, wiedzieć, jakie wyrazy są w danym momencie dobrze widziane, a jakie źle. To oczywiście zmieniało się dość szybko i kto nie zdążył się zorientować, wypadał z karuzeli. W naszych czasach nie mamy do czynienia z królem Ludwikiem, lecz raczej z mieszczańskim salonem. Weźmy polskich młodych akademików. Ci sami ludzie, które upominają, że nie wolno mi o sobie mówić „profesor” (i jednocześnie „etnografka”), w prasie głoszą: „mów do mnie jak ci niewygodnie” i traktują te konwencje językowe jako kanon bezwzględnie obowiązujący. Gdy naruszy się go, uzyskuje się etykietę, której usunąć w żaden sposób się nie da. Tą etykietą jest najczęściej anglosaski akronim – co samo w sobie jest ciekawe – który po rozszyfrowaniu okazuje się zawierać w charakterze wyzwiska coś, co niedawno było dla tego samego środowiska jedną z cenionych pozytywnych wartości (jak na przykład radykalizm). Te deklarowane wartości coraz szybciej się zmieniają, nie trzeba czekać pokolenie ani nawet dekadę, ba, 5 lat to już kompletna wymiana słowników. Nie ma to żadnego związku z walką pokoleń, bo, wbrew temu, co często się słyszy, nie chodzi tu o żaden bunt młodzieży. Młodzież obecnie nie ma żadnej przestrzeni na bunt. Studia nie gwarantują nie tylko awansu społecznego, ale i zatrudnienia. W branych przez nas za wzór krajach anglosaskich absolwent wychodzi w życie z gigantycznym długiem i bez perspektyw, ale za to z ogromną presją by „wykazać się” i „zapracować na sukces”. Owszem, można też skorzystać z okazji, by pozbyć się konkurentów etykietowanych jako „boomersi” lub „dziadersi” i wprowadzić przepisy eliminujące z różnych zawodów wiekowe grupy pracownicze w imię światłych wartości („czas oddać pole młodym!”).

Deklarowane wzniosłe wartości są oderwane od kontekstu, od doświadczenia, a przede wszystkim nie służą temu, by się doskonalić czy wywracać stare niesprawiedliwe porządki. To sposób na ciągłe egzaminowanie kandydatów do klasy średniej. Umiejętność płynnego posługiwania się językiem jakiegoś obowiązującego w danym momencie systemu wartości kwalifikuje chwilowo do wejścia. Brak tej umiejętności eliminuje trwale z gry. Oczywiście, że miejscem tych potyczek są uniwersytety, które kiedyś same z siebie dawały przepustki do wyższych warstw społecznych. Obecnie umasowienie z jednej, a konsumeryzacja studiów wyższych z drugiej strony, sprawiły, że ten system „windy klasowej” przestał działać. Tymczasem klasa średnia osłabia się, zmniejsza swoją liczebność, zwłaszcza w krajach anglosaskich, które są dla Polski kulturowo wciąż absolutnym kompasem.

To nie nowy purytanizm. To nowy brak nadziei, pożegnanie marzeń o dobrym życiu. Szczury przestały się ścigać i dawno uciekły, zostało bla, bla, bla.

Autorstwo: prof. Monika Kostera

Zdjęcie: [Nyctaline](#) (CC0)

Źródło: [NowyObywatel.pl](#)